

SPOKOLENIE

czyli

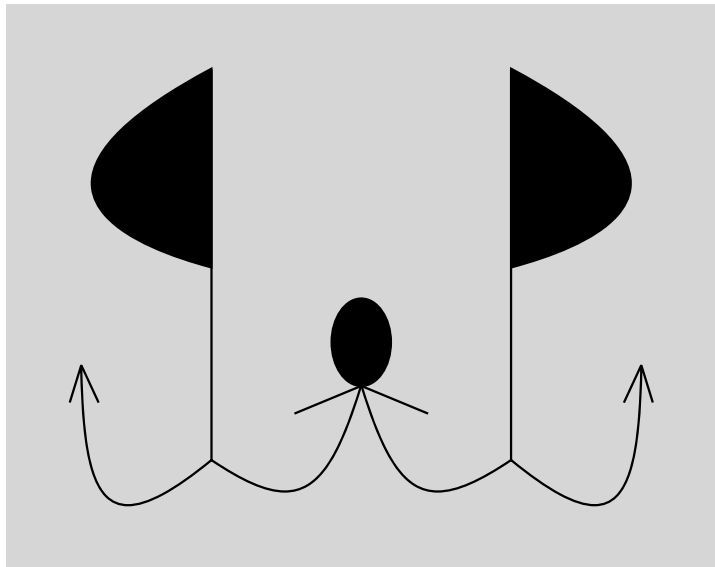
GNIJE W

Andrzej Te

SPOKOLENIE

czyli

GNIEW



SPOKOLENIE

czyli


GNIEW

Andrzej Te

Jirafa Roja
Warszawa 2013

© Copyright by Andrzej Te, 2013

© Copyright by Jirafa Roja, 2013

Redakcja: Jarosław Czechowicz
Korekta: Jarosław Czechowicz
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Zdjęcie autora: Wiktor Motylewski

ISBN 978-83-63879-10-5

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2013



Spis treści

Część I Władza, czyli zrządy i urzędy	11
Robota robota	17
Piętnasta — punkt	25
A po robocie... kula w płocie	29
Król klozetów kultury	36
Idzie. Rak niebo rak	40
Ha! Kałokultura...	43
Na. Pamięć	47
Pomysł na	53
Parę minut po...	56
Psikusy	65
POParcie	71
Nie bądź dumny, idź do urny...	74
pseudoStasiMON	77
Porażka	80
Cisza przed burzą	82
Część II Gniew	91
*	98
Niewielka improwizacja, czyli przemiana przez Gniew	102
*	105
<i>Bo fantazja... czyli Biały Skurwiel</i>	111
Nerwy, nerwy...	116
Interes i założenia	119
*	122
*	124
Młody biznes, albo Przełom	125
*	130
*	135
Temat zastępczy	137
Powołanie Huberta Ha	138
SPOTkanie	140
Problem	147
Media... głupcze!	149
Rozwiązanie	157
oGłędziny	159
*	161
Rozliczenia	164
Siekierzada albo wiosna Ludzi lasu	168
Młody i moda	173
...Huberta Ha	180
Gadu-gadu	182
31.12.20...	188
In to the Wild	191
23:59... mit założycielski w 60 sek.	194
Część III (S)pokolenie	197

Straconemu Pokoleniu bezrobotnych absolwentów.

Oburzonym.

Przebiegłym spawaczom i Premierowi Państwa Pe.

Ojcu...

Dedykuję.

Osoby

Dyrektor Któregoś Urzędu (później Ex-Dyrektor) — dyrektor Któregoś Urzędu miasta Esz; po przymusowym przejściu na emeryturę Ex-Dyrektor; prywatnie — Jurek.

Hubert Ha — twórca kałokultury i gównotek; kandydat w wyborach na Prezydenta Miasta Esz, zmasakrowany przez tłum po przegranej. Później zwany również Panem Barbie. Katem Dzieci; ostatecznie członek PiP-y.

Jakub (Kuba) — bezpłodny lekarz onkolog, mąż Moniki, twórca PiP-y.

Monika (Monia) — bezpłodna pielęgniarka, żona Jakuba, twórczyni PiP-y.

Małolat — nastolatek; diler, pracujący dla PiP-y; współpracownik Ex-Dyrektora.

Adam (A.) — diler marihuany.

Biały Skurwiel (BS) — psychopatyczna projekcja umysłu Huberta Ha; superantybohater lub anty-superbohater.

Pani... sekretarka — sekretarka Dyrektora Któregoś Urzędu.

„dwudziestka” — dwudziestoletnia prostytutka.

Prezydent Pierwszego Urzędu — Prezydent Miasta Esz.

Nowy Prezydent Pierwszego Urzędu — Tadeusz, Tadzio, Tadzik.

Napierski — kierownik wydziału w Pierwszym Urzędzie Miasta Esz.

Specjalski — młody Zastępca Prezydenta Pierwszego Urzędu Miasta Esz.

Nowy Dyrektor Któregoś Urzędu — następca Dyrektora Któregoś Urzędu.

Dziecko, dziewczynka — jedna z ofiar Pana Barbie.

Policjanci — rozmawiają podczas oględzin zwłok dziecka, ofiary Pana Barbie.

Policjant — funkcjonariusz przesłuchujący Ex-Dyrektora.

Jeden i drugi w ogrodniczkach — wiejscy mężczyźni znęcający się nad Hubertem Ha.

Wiki — Wikipedia.

Część I

Władza, czyli zrzędy i urzędy

Lubił się zakładać. Często.

— Uwielbiam, jak mnie dotykasz — szepnęły ciemne usta zanurzone w ciepłym cieniu wnętrza... jego wnętrza.

Był w niej. Skończył. Było... mmm... trochę nudno.

Jak zwykle zresztą, od dnia, gdy poczuł, że seks, właściwie wszelkie współżycie, kontakty z innymi osobami obrzydły mu zupełnie. No, prawie zupełnie! Przynajmniej na jakiś czas. No, dobra, może do przyszłego tygodnia. Ok! Do jutra?

Ona oddychała ciężko, zmęczona swoim odgórnym wysiłkiem, rytmicznym ruchem masywnych, dwudziestoletnich bioder. On, w dole, w pozycji horyzontalnej, przypomniał sobie zakład, który kiedyś zrobił z licealną koleżanką Anną Ka. Chodziło o inną jeszcze klasową koleżankę, również Annę, Anię Wu.

Mieli naście lat. Byli na wycieczce szkolnej. Były to jedne z pierwszych dni w ich życiu, w których próbowali nowości, eksperymentowali i tym podobne. Tego wieczoru, pod świetlicą ośrodka, w paczce, w której zwykle trzymali się w klasie, wypili pół litra wódki na kilka osób i może jedno piwo, może

dwa, albo trzy. Cała ta ilość alkoholu rozłożyła się na kilka dziewczyn i paru chłopaków. Niby niewiele, ale jak na jeden z pierwszych razów — akurat. Tak, by zaszumiało, a do głów powpadały inne, mniej grzeczne niż zwykle, pomysły.

Między Anną Ka a... wywiązała się dyskusja, potem spór, na końcu zakład. Założyli się, że... nie uda mu się uwieść Anny Wu, otyłej koleżanki z ogromnym biustem i ładną buzią. Wewnętrznie czuł, że nieraz był ukradkiem obserwowany przez Wu; wtedy obracał się w jej stronę, a ona rumieniała się, czasem uśmiechała, czasem... Rzadko ze sobą rozmawiali, lecz on wiedział, że ona... To się po prostu czasem czuje, się wie. Założył się więc o przekonanie. Był pijany, podniecony. Lubił wygrywać. Sądził, że zawsze będzie górą. W tamtej chwili i w kolejnych, w przyszłości także.

Ania Wu siedziała w grupie swoich koleżanek. Całkiem blisko ich stolika. Podszedł i zagadał. Poprosił, by z nim poszła, przeszła się, czy ma ochotę zerknąć w gwiazdy? Tak, to banalne, ale niebo takie piękne, może piwo? Tak, chętnie, czemu nie, bo co mi tam, nigdy nie podchodziłeś, nie rozmawiałeś ze mną, czemu teraz? A tak, wiesz, jestem nieśmiały. Nie wyglądam, ale jestem, wierz mi, zawsze się... bałem.

Trzydzieści, czterdzieści minut później całował ją, jej ciemne, miękkie usta w cieniu... mokre śliną, oczy wilgotne strachem, prosiła, by przestał, że to za szybko, tak nie można, że chce ją oszukać, napił się i chce wykorzystać, że ona nigdy. On również nigdy — odparł. Nigdy w życiu, jest pierwsza. Nie, że pierwsza w całowaniu, ale tak pierwsza pierwsza, w sensie, pierwszeństwa, w sensie absolutnym, seksualnym. Przestraszyła się tego słowa, nawet bardzo. Chwyliła go za rękę, wyrwała ją spod stanika, zaczęła zapinać bieliznę, nie mogła schować tłustej piersi pod pajęczyną materiału; wresz-

cie się udało, zapięła się z tyłu, na plecach. Przeprosiła, że musi iść, zaczęła odchodzić, chciał ją powstrzymać, przyciągnąć do siebie. Miała łzy w oczach tej ładnej, krągłej twarzy, pulchne dłonie odepchnęły go delikatnie, usta pocałowały, powiedziały, że chce iść, jest śpiąca, ale jutro od rana może się spotkać, zobaczyć, ty też chcesz, co? — spytała. No... — padła odpowiedź. Zobaczymy. Poszła w stronę swojego domku, w którym spała z dwiema koleżankami, tymi najbliższymi w klasie.

...odczekał jedną, dwie, trzy minuty i ruszył w miejsce, w którym zostawił Annę Ka i resztę. Podszedł, pochwalił się, nie chcieli uwierzyć. W końcu ich przekonał, koniec końców zakład był o przekonanie. Kilka minut później wiadomość dotarła do Ani Wu. Załamała się, przepłakała całą noc. Nigdy nie odezwała do... Nic poza tym, poza jej upokorzeniem, a jego wygraną.

Podając pieniądze dziewczynie, z którą spędził godzinę, w tym połowę w łóżku, myślami był przy Ani Wu. Nawet po tylu latach nie było mu jej żal. Tak samo jak tej, co wychodziła. To były tylko maszyny. Nieczułe automaty. One udawały, że im zależy, że czują. One nie czuły. To były automaty rozumne, o dużej sile przebicia. Inaczej nie byłyby w stanie znieść dnia codziennego. I przetrwać.

— Mało! Jeszcze na takse daj — dwudziestka syknęła przy drzwiach, chowając banknoty.

— Na piechotę nie możesz?

— A ty sobie zwalić nie możesz?

— Mogę.

— A ja nie mogę. Dawaj, nie pierdziel. Znam swoje prawa.

— Co ty nie powiesz... — podał pomietą dychę.

— Mało!

— Spadaj.

Wypchnął ją. Zamknął drzwi na klucz, zasuwkę, łańcuch. Gdy skończył, odczekał aż ucichną dźwięki kopnięć i krzyków po drugiej stronie bezpiecznej granicy. W końcu poszła.

Spojrzał na zegarek. Skrzywił się. Ustawił alarm na rano. Poszedł. Minął sypialnię. Padł na kanapę i włączył telewizor. Przykrył się kocem. Chwycił szklanę z niedopitym drinkiem ze śladem szminki. Przymknął oczy. Nie chciał spać w łóżku, nie chciało mu się zmieniać pościeli po.

— Fuj — wypluł, odłożył szklanę, wyłączył telewizor i spróbował zasnąć. Jak co noc. Próbował...

Robota robota

Nie ukrywał (głównie przed sobą). Nie lubił przychodzić do biura. Pracował w Którymś Urzędzie. Był dyrektorem od... nudy.

Biznes startował o 7. On ustawiał alarm w telefonie na po siódmej. W końcu był szefem — miał prawo. Miał niernormowany czas pracy na umowie o pracę, który normował zgodnie z własną wolą i zapałem do pokonywania narzucanych obowiązków.

Zwykle około 9. zajeżdżał pod budynek Któregoś Urzędu. Wspinał się po schodach. Trzecie piętro. Brak windy. Wchodził do sekretariatu. Witała go ona, pani... Jak jej było? Zastanawiał się przez chwilę, gdy pytała o to, czy podać kawę, czy jak zwykle czarną bez cukru, czy może inną tym razem? Nie — ta sama, co zawsze. Ta sama, co każdego dnia przez ostatnich pięć lat, droga pani... Jak ona miała?... Stara? Brzydka?... Nie... blisko, ale to nie było tak. Jakoś...

— Słucham panią? — wyrwała go z zadumy.

— Pan Iks Igrek zostawił panu wycinki z gazet. Prasówka. I jeszcze...

— Uhm. I co tam piszą, pani...?

— Nie wiem, panie dyrektorze, jeszcze nie zdążyłam przeczytać. Wie pan jak to jest! — zaczęła poranną mantrę marudzenia (właśnie! To za to za nią nie przepadał!). — Byłam już za dziesięć. Patrzą, a tu znowu tyle pracy, że nie mogę tego od razu ogarnąć, a jak bym miała zacząć jeszcze czytać to wszystko, co przynosi pan Iks i reszta, to — zatrzasnęła drzwi swojego pokoju; głos pani... ucichł, nastał absolutny spokój.

Drzwi były bardzo solidne i szczelne. Zostały wstawione za jego kadencji. Na jego prośbę, na wniosek. Drzwi pełne w wersji przylgowej, wyposażone w próg opadający, posiadały najwyższą izolację akustyczną. Co więcej — ściany zabytkowego budynku miały grubość kilku metrów, wykonane z pruskiej cegły. Tak przynajmniej lubił sobie wyobrażać. To samo okna — plastiki najnowszej generacji. Pomieszczenie było więc niemal w pełni dźwiękoszczelne. Musiało być. Gdyby było inaczej, zrezygnowałby z pracy. No! — może bez przesady. Ale!

Miał sześćdziesiąt cztery lata. I miał dość życia, które wiódł. Trochę dość. Nie aż tak bardzo, by je nie wiadomo jak zmieniać. Ale jednak dość. Nuda wykańczała go tak, jak żadna kobieta czy nałóg. Poza tym ery i jednego, i drugiego skończyły się już w jego życiu. Nastał czas abstynencji miłosnej (w sensie miłości psychicznej, oczywiście, nie fizycznej) i nikotynowej, której musiał się trzymać, jeśli chciał żyć względnie normalnie, a nie jako kardiologiczny kaleka. To irytowało tym bardziej, że na świecie szalał kult młodości, zdrowia, fizycznej przyjemności, hedonizmu, erotyzmu. Skandalicznie irytujący gówniarze, dwudziesto i trzydziestolatkowie, pełni sił witalnych, entuzjazmu i pozytywnej motywacji pętali się nawet w jego najbliższym otoczeniu. Mniejsza o panienki. One były jeszcze do przyjęcia, były użyteczne, miło było czasem popatrzeć, częściej wykorzystać, skosztować, posłu-

chać ich komplementów, podlizywania się, pouczestniczyć w ich... rozwoju, takim czy innym. Jednak ładne, młodocienne męskie gęby — co to, to nie. To wzbudzało w nim gniew, trochę lęk, może. Wklęsłe brzuchy, umięśnione uda i łydki, białe kły, gładka skóra, modne ciuchy, lśniące włosy — tych nie chciał widzieć, te wywoływały negatywne uczucie depresji, znudzenia, przejścia w stan spoczynku...

— Szlag! — szepnął, gdy rozległo się pukanie do drzwi.
— Tak? Proszę! — wypluł głośnym, anielskim głosem.

— Kawka.

— Dziękuję pani...?

— Proszę, panie dyrektorze — wydziumdziała do zrzygnięcia słodko podstarzała sekretarka, której czarne włosy wały się po prostu w każdym kącie! — Panie dyrektorze...

— Tak?

— Pan Specjalski przyszedł. Czeka na spotkanie.

— Niech wejdzie...

Jako Dyrektor Któregoś Urzędu zarządzał instytucją podległą Pierwszemu Urzędowi. Musiał słuchać Pierwszego we wszystkim i polecenia przekazywać niżej, do swoich kierowników. Kierownicy przesyłali je podwładnym specjalistom, a specjaliści robili, co trzeba lub spuszczały jeszcze niżej, do młodszych specjalistów, inspektorów, pomocy biurowych i tak dalej. Na końcu tego złożonego, wielosegmentowego procesu był znowu on — wyciągał długopis, składał podpis. Czasami czytał, co nabazgrali na kartce. Czasem nie musiał, bo. Nu-uuda! I te maile... Tego to już nie mógł po prostu znieść! Łeb mu puchł od światła monitora, gdy gapił się w nie dłużej niż... W ogóle czuł, że dostaje raka mózgu od tej technologii, której skrajnie nienawidził za to, że jest tak szybka i się rozwija jak papier w kiblu, którego zapasów administratorka budynku

nie była w stanie na czas uzupełnić. ...starał się nie pić kawy. Wypijał dwie, trzy dziennie, w pracy. Jednak kierownicy, kierowniczkę, specjaliści, specjalistki, inspektorzy i konserwatorzy!... Te gnoje — myślał — chleją to kawsko jak jacyś niskociśnieniowcy, którzy bez kofeiny padają na pysk w krainę snu i nie mogą się wypróżnić! Ile razy wychodził z pokoju, szedł do wspólnej dla wszystkich toalety, otwierał drzwi, zapalał światło, mając nadzieję, że przy zgaszonym nikt tam nie siedzi, że zamknięte okno oznacza, iż jest pusto, że zamknięta kabina to nie jest wcale zły znak, podły omen, i naciskał klamkę do — i! Zawsze, ale to zawsze ktoś tam (kurna!) siedział i... Spokojnie, uspokój się — ...powtarzał sobie w myślach. Specjalski przyszedł. Musisz zachować zimną krew, być *cool* jak ci małolaci o mocnych nerwach z białym proszkiem pod nosem, rękami w kieszeniach, obcisłych spodniach typu rurki, dopasowanym gajderze znanej marki, wyszperanym w którymś z (teraz trendy) lumpeksów z ciuchami na wagę. Wcześniej osranymi, oplutymi, oblanymi kawą i, lecz przez rączki pańci lub mamci takiego młodego wypranymi, odprasowanymi, wychuchanymi i.

— Cześć dyrektorze!

— Witaj Witoldzie! — odparł automatycznie uśmiechnięty od ucha do ucha jak jakaś siksa na oralnej maturze. — Cóż cię do mnie sprowadza o tak wczesnej porze?

— Wczesnej? Nie śpię już od piątej — rzucił, rozglądając się po wnętrzu.

— Ranny ptaszek... — warknął w sposób kontrolowany i ugryzł się w język, by nie dodać czegoś, co cisnęło się na usta. — To się chwali. Kto rano wstaje...

— Wiadomo!

— Ta.